NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75. Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 48 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XII
ulica Kazimierza Wielkiego L. 66 [illegible]
[illegible]
[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | Kraków, 18 maja 1918. | Nr. 20

Trzeci pokój na Wschodzie.



Austryacko-węgierski minister spraw zagranicznych, hr. Burian, podpisuje traktat pokojowy, zawarty pomiędzy Rumunią a mocarstwami centralnemi.

Trzeci pokój na Wschodzie.

Pokój z Rumunią stał się faktem. Ciągnące się dość długo rokowania w Bukareszcie zakończyły się ostatecznie w dniu 7. maja podpisaniem traktatu pokojowego. Główne jego punkty są te same, co w przyjętym już poprzednio preliminarzu pokojowym, o którym w swoim czasie już pisaliśmy. Zaznaczamy więc tu tylko, że w pokoju tym nie oszczędzono Rumunii żadnego upokorzenia. Poza koncesyami gospodarczemi i oddaniem znacznych terytoryów Bułgaryi i Austro Węgrom, musiała Rumunia zgodzić się na demobilizacyę własnej armii pod dozorem generałów niemieckich, a pozostawienie u siebie dalej armii okupacyjnej.

Nie było też tylko przypadkiem, że dzieła, rozpoczętego przez hr. Czernina, dokonał jego następca bar. Burian, który po podpisaniu traktatu pokojowego pospieszył natychmiast do Budapesztu, gdzie, w odpowiedzi na gratulacye burmistrza, Barczyego, wygłosił mowę polityczną, będącą zamaskowanym okrzykiem: „Biada zwyciężonym!“ Bo przedewszystkiem zawarty z Rumunią pokój jest głównie pokojem węgierskim, bułgarskim i niemieckim, Austrya ma w nim mały udział. Zaledwie Bukowina zyskuje terytoryum obszaru 600 klm. kw., podczas gdy obszar zajęty przez Węgry, wynosi 5.000 klm. kw., obszar odzyskany i zyskany przez Bułgaryę wynosi razem 15.000 klm. kw., Niemcy zaś zabrali prawie całkiem dla siebie monopol eksploatacyi nafty w Rumunii. W innych korzyściach pokoju, jak uregulowanie żeglugi na Dunaju, biorą obie części monarchii udział w równej części, przewaga zysków jest jednak po stronie Węgier

Tak więc pierwszą cechą polityczną pokoju z Rumunią jest ujawnienie się hegemonii Węgier Niemniej zasługują na uwagę zdobycze Niemiec, które opanowały rumuński przemysł i handel naftowy, zbierając w ten sposób owoce ze swej jeszcze przedwojennej polityki gospodarczej.

Nie ulega również wątpliwości, że także wszystkie korzyści z otwartej drogi dunajowej przypadają w udziale tak Niemcom, jak Austro-Węgrom. Otwarcie tej drogi jest takim samym tryumfem idei środkowo europejskiej, w jej znaczeniu wojowniczem, jak swego czasu otwarcie korytarza do Konstantynopola i do Azyi Mniejszej. Dunaj jest dziś wspólną własnością czwórprzymierza, gdyż nawet podobno Turcya została dopuszczona do kondeminium nad ujściem Dunaju. Usunięto wszystkie daniny na żeglugę, nakładane dawniej przez Rumunię, a dawną międzynarodową komisyę dunajową zmieniono na „komisyę ujścia Dunaju“, dając przez to już w nazwie samej do poznania, że odtąd Anglia, Francya i Włochy nie mogą się już wtrącać w sprawy Dunaju i tracą tu swój dalszy wpływ polityczny, zastrzeżony im po wojnie krymskiej pokojem z r. 1865. Do nowej komisyi mają należeć tylko przedstawiciele państw, położonych nad brzegami Dunaju, a więc także Bułgaryi i zapewne w przyszłości Serbii. Mocarstwa sprzymierzone mają prawo utrzymywać na całym Dunaju okręty wojenne tak samo, jak Rumunia.



Trzeci pokój na Wschodzie: Parada wojskowa na ulicach Bukaresztu po zawarciu pokoju między Rumunią a mocarstwami centralnemi. (Woj kwat. pras.)



Trzeci pokój na Wschodzie: Ruch na ulicach Bukaresztu po oficyalnem ogłoszeniu zawarcia pokoju z mocarstwami centralnemi (Woj kwat pras)

Pomimo wielkich sukcesów, jakie państwom centralnym przynosi ten nowy, trzeci z rzędu pokój na Wschodzie, prasa wiedeńska nie zdradza zbytniej radości z traktatu pokojowego, a czyniąc różne zastrzeżenia, zwala winę na... walki narodowościowe w Austryi, a przedewszystkiem na Czechów. Głosy te są tak charakterystyczne, że warto je przytoczyć.

„Neues Wiener Tagblatt“ rozpoczyna swój artykuł o traktacie pokojowym różowem zapewnie niem: „Pokój z Rumunią jest gotowy. Przyjmujemy go z zadośćuczynieniem, jest on bowiem uzupełnieniem obu traktatów brzeskich i oznacza zupełne odciążenie granicy wschodniej, tudzież początek powrotu przyjaznych stosunków z Rumunią“. Ale widocznie nawet samemu autorowi artykułu ten wiedeński optymizm wydawał się zbyt przedwczesnym, zaraz bowiem w następnem zdaniu powiada: „Należy jednakże unikać jednej rzeczy: nie należy w zdradzieckim przeciwniku wczorajszym upatrywać już wiernego przyjaciela jutrzejszego. Nie należy być w polityce naiwnym. Zawarcie pokoju nie jest sentymentalnem pojednaniem się, które poprostu przywraca dawny stan rzeczy. Właśnie pokój z Rumunią oznacza zupełnie co innego. Rumuńscy rządzciele podpisali go, bo musieli. Bratianu ustąpił, ale duch jego rządzi. — Rumunia zawarła pokój w nadziei, że po spodziewanej klęsce mocarstw centralnych, kongres światowy obali ten pokój. — Jeżeli ta nadzieja zawiedzie, to nastrój Rumunii wobec nas jeszcze przez długi czas się nie zmieni“.

Jeszcze wyraźniej powiada to samo „Arbeiter



Trzeci pokój na Wschodzie: Kolporterzy roznoszą po ulicach Bukaresztu nadzwyczajne wydanie dzienników, donoszące o podpisaniu traktatu pokojowego Rumunii z mocarstwami centralnemi. (Woj. kwat. pras.)

Zeitung", podnosząc przedewszystkiem, że obalona została znowu zasada pokoju bez aneksyi i odszkodowań. Rumunia straciła pewne terytorya, co jest wyraźną aneksyą ze strony Austro Węgier, a kontrybucyę zapłaci pod formą wielkich „ustępstw gospodarczych", tudzież utrzymywania swoim kosztem wojsk okupacyjnych. „Jak wiadomo — pisze wspomniany dziennik — oświadczyły Austro Węgry, że przyjmują cztery zasady Wilsona, mocą których nie może nastąpić żadna zmiana terytoryalna bez woli lub wbrew woli ludności. Czy „regulacya granicy" kosztem Rumunii wzmocni w Ameryce zaufanie, że jesteśmy rzeczywiście gotowi do pokoju na podstawie zasad Wilsona? A czy porozumienie



Trzeci pokój na Wschodzie: Król rumuński Ferdynand

się z Wilsonem nie jest stokroć ważniejszem, niż aneksye przełęczy i lasów w Karpatach?

Ale chodzi o to, co Rumunia traci na rzecz mocarstw centralnych nad Dunajem. Wspomniany dziennik podnosi też, że Rumunia nie przeboleje straty Constancy i wybrzeża. — Obawiamy się — powiada „Arbeiter Zeitung" — że dzieci nasze będą



Trzeci pokój na Wschodzie: Austryacko-węgierski minister spraw zagranicznych hr Burian, podczas rozmowy z austryackim oficerem w Bukareszcie. (Woj kwat. pras.)

żałowały, iż pomiędzy Dunajem a Morzem Czarnem stworzono Alzacyę na małe rozmiary".

Omawiając pokój z Rumunią, biada „Neue Freie Presse" w następujący sposób: „Austrya podczas rokowań z Rumunią czuła skutki nieustannych przesileń. Niemcy mieli w swoich rękach militarne kierownictwo wojny, naczelną komendę w bitwach w okupacyi. Na wypadek pokoju zapewnili sobie miarodajny wpływ na przemysł naftowy i te czynniki siły musiały wystąpić na jaw w rokowaniach. Przez rozdarcie Austryi, przez grzechy Czechów codziennie popełniane, Węgrzy stali się kierującą siłą w monarchii. Jak się Austryi powodziło w Bukareszcie, to okażą nieogłoszone jeszcze umowy gospodarcze. Ogół pragnąłby się dowiedzieć, czy po pokoju będzie miał coś więcej do jedzenia".

Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie.

Już dwa miesiące minęło od podjęcia wielkiej ofenzywy niemieckiej na Zachodzie. Po gwałtownych uderzeniach, które przyniosły Niemcom szereg znacznych sukcesów, lecz nie zdołały przełamać frontu nieprzyjacielskiego na sposób gorlicki, nastąpiła w działaniach niemieckich przerwa. Daje to prasie koalicyjnej powód do snucia najrozmaitszych przewidywań i kombinacyi. Gdy jedni pocieszają się, że jest to „stępienie ostrza" ofenzywy, która przestała już być groźną, inni przestrzegają przed zbytnim optymizmem, podejrzewając, iż jest to cisza, w której dojrzewa plan nowego, może groźniejszego jeszcze uderzenia. Są to naturalnie tylko przypuszczenia, a istotną prawdę, ukrytą dla zwykłych śmier-





Zburzone domy w Gheluvelt **Z flandryjskiego piekła:** Ruiny kościoła w Becelaere. (Fot. Lip. B. pr.)



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Baterya ciężkich dział angielskich zajęta przez sprzymierzonych na drodze, wiodącej do Albert. (Fot Bufa

telników, może ujawnić tylko bieg wydarzeń. Chcąc należycie ocenić faktyczną sytuacyę na Zachodzie, trzebaby wiedzieć, w jakim stosunku znajdują się faktyczne plony ofenzywy niemieckiej do przedsięwziętych zamierzeń i planów, lecz te stanowią tajemnicę szczupłego grona najwyższych kierowników armii.

Pewne światło rzuca na tę sprawę ciekawy artykuł duńskiego sprawozdawcy wojennego. W. Carlinga, który w „Politiken" przygotowania Niemców do ostatniej ofenzywy opisuje w następujący sposób:

Z końcem stycznia rozpoczęli Niemcy przygotowania. Nie były one łatwemi. trzeba je bowiem było czynić skrycie, ażeby nie obudzić podejrzenia Anglików. Przedewszystkiem komenda armii poleciła wykonać jak najdokładniejsze mapy. na których uwidoczniono każdą drogę i jej stan Potem przystąpiono do budowy i naprawy dróg urządzono nowe równoległe drogi i postarano się o to, ażeby każdy korpus miał co najmniej dwie drogi.

Gdy prace te, prowadzone przeważnie nocą, były już gotowe, wypracowano podręcznik o stu stronicach, który przy pomocy szkiców kartograficznych zawierał pouczenia, w jaki sposób ma się dokonać ofenzywa. Mimo pewnych wątpliwości, otrzymali ten podręcznik wszyscy oficerowie aż do komendantów kompanijnych. W książeczce tej było mnóstwo bardzo ważnych pouczeń.

W marcu pośród wszelkich środków ostrożności zaczęli Niemcy zwozić amunicyę do składów, urządzonych o ile możności jak najbliżej frontu nieprzyjacielskiego. W tym czasie Anglicy widocznie spostrzegli, że się coś dzieje, gdyż nocami całe stada samolotów angielskich krążyły w powietrzu, a lotnicy zapomocą bomb świetlnych usiłowali dowiedzieć się, co Niemcy poczynają. Tu i ówdzie zdołali trafić w transport amunicyi, ale przeważna część składów nie odniosła żadnej szkody. — Ale w obozie angielskim powstało już zaniepokojenie, a prasa angielska przynosiła wiadomości, że Niemcy mają zamiar podjąć ofenzywę na przestrzeni pomiędzy Arras a St. Quentin.

Wiadomość była trafna, tylko Anglicy pomylili się co do terminu ofenzywy. Sądzili mianowicie, nie wiadomo na jakiej podstawie, że atak nastąpi dnia 11. marca rano. To też w nocy z dnia 10. na 11. marca artylerya angielska ostrzeliwała z całej siły pozycye niemieckie. Nazajutrz, jak to zeznali jeńcy angielscy, panowało w obozie angielskim zdziwienie, że Niemcy zachowują się spokojnie.

W kilka dni później rozpoczął się właściwy pochód strategiczny Niemców, który trwał przez kilka nocy. W tym czasie ciężkie działa i miotacze min znajdowały się już na przodzie. Teraz pojęli Anglicy powagę chwili, ale, jak świadczą angielskie mapy sztabu generalnego, które dostały się do rąk niemieckich, nie zdawali sobie sprawy z wielkości niebezpieczeństwa. Mimo to na ogół przeczuwali doniosłość zamierzonej ofenzywy, gdyż na niektórych punktach zaczęli wycofywać swoją artyleryę. Ale tę robotę przerwano im, gdy dnia 21. marca rano rozpętał się ogólny atak.

Zaznaczyć tu należy, że w tych przygotowaniach wzięła udział i armia austryacka, o czem już pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów. Zwłaszcza ciężka artylerya austryacka odegrała wybitną rolę w ostatnich walkach na Zachodzie. — Wśród zdjęć z zachodniego frontu zamieszczamy też fotografie, przedstawiające pozycye ciężkich dział austryackich podczas ostatnich walk na Zachodzie.

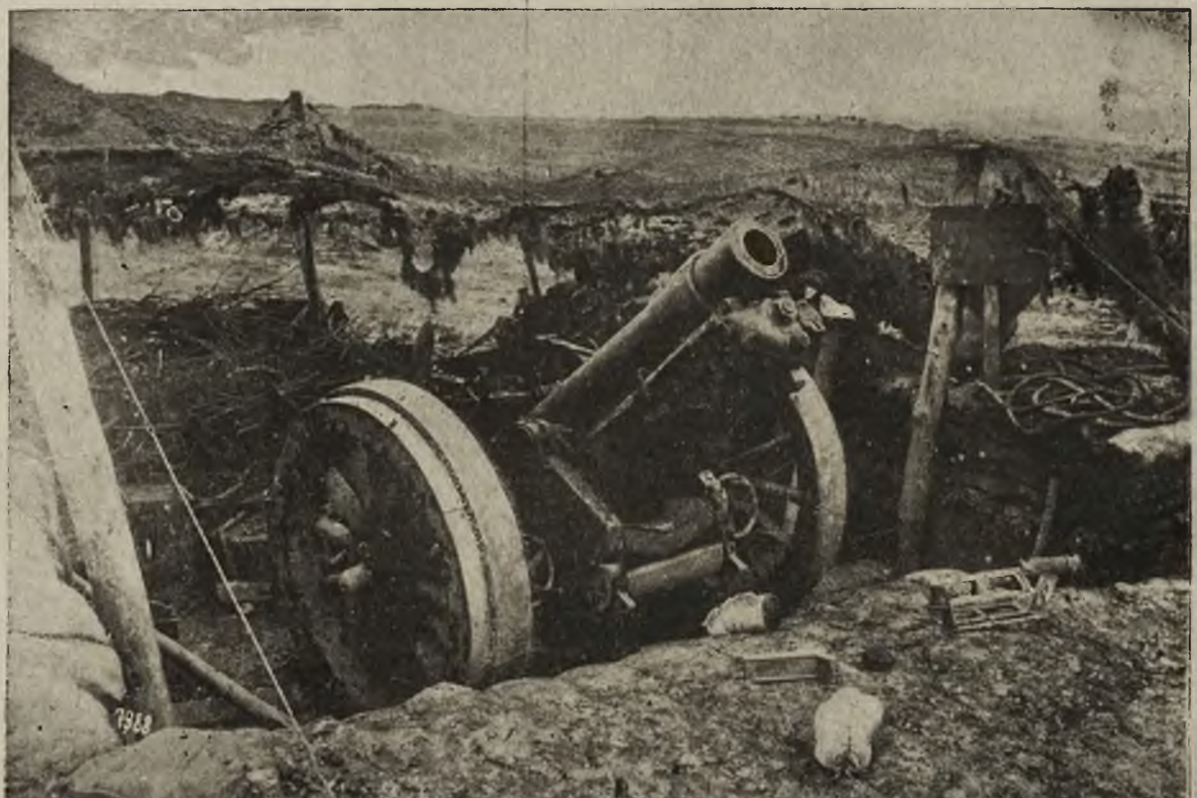




Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: (Woj kwat. pras)

Stacya telefoniczna austryackiej bateryi ciężkich moździerzy na Zachodnim froncie

„Alarm gazowy" przy austryackiej bateryi ciężkich moździerzy na Zachodnim froncie



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie Jedna z armat angielskich zdobytych przy zajęciu Albert. (Fot Bufa)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J MIGOWA)

4

Obaj Givreuse'owie oczekiwali tego poznania niecierpliwie.

Prawie jednocześnie sprowadzono ich do gabinetu doktora. Zajrzeli sobie głęboko w oczy. Piersi wznosiły się oddechem. Oczy ich, znużone jeszcze trochę, zapłonęły ogniem, rozjaśniły się radością.

Wzruszenie ich wydawało się nadzwyczajnem, ale nie miało w sobie nic przygniatającego. Przeciwnie przypominało jakąś ekstazę. Żywiołowo połączyły się w uścisku ich ręce.

– Więc panowie znacie się? – zapytała Ludwika de Bréhannes.

Jednocześnie odpowiedzieli:

– Nie widzieliśmy się jeszcze nigdy.. a jednak!

– Któryż z was dwóch jest Edwardem Henrykiem Piotrem de Givreuse, urodzonym w Avranches w roku 1880? – rzucił gorączkowo pytanie doktór Formental.

– To ja jestem! brzmiała odpowiedź z dwojga ust.

Zdawało się, że dopiero teraz zdziwili się trochę.

– Jest rzeczą pewną, że tylko jeden z was odjechał na front z pułkiem nr. ***.

Ponieważ obaj przyznawali się razem, Djana wmieszała się do rozmowy.

– Dokąd przybył pan najpierw? – zwróciła się do pierwszego Piotra Givreuse.

– Do Montargis Przyjechałem rano! – odpowiedział.

– Olbrzymia kolumna żołnierzy maszerowała w stronę koszar! uzupełnił drugi.

– Entuzyazm był szalony...

Urwali. Całe zachowanie ich nacechowane było wzmożonym niepokojem, ale także i gorącą sympatyą.

– Czy pan wyjechał z Avranches? – pytała Ludwika.

– Tak jest! – odpowiedzieli obaj równocześnie.

Następnie znowu razem odpowiadali dalej.

– Zatrzymałem się w Paryżu.

– W hotelu?

– Nie, w mojem własnem mieszkaniu.

– Poczekajcie panowie! – rzekł dr. Formental – Będzie lepiej, jeżeli będziecie odpowiadali po kolei. Ja będę zadawał pytania. Gdzie pan mieszka w Paryżu?

– Ulica Cimarosa nr. 15.

– Na którem piętrze?

– Moja matka i ja zajmujemy cały dom.

– Gdzie pan jadł obiad ostatniego wieczora?

– W domu.

– W jaki sposób dostał się pan na dworzec?

– Pojechałem dorożką konną, ponieważ nie było samochodu.

– Czy nie zachował pan w pamięci z czasu swego pobytu w Paryżu jakiego charakterystycznego wspomnienia?

– Owszem Dostałem od dwóch młodych kobiet kwiaty.

Doktor zadawał pytania ściśle po kolei, zwracając się to do jednego, to do drugiego.

– Cóż? Czy jesteście w zgodzie? – zakończył wreszcie drżacym nieco głosem.

– Tak jest.

To samo drżenie udzieliło się i innym świadkom tej dziwnej rozmowy. Obaj żołnierze byli prawie zupełnie spokojni.

– A więc! – krzyknął rozgorączkowany dr. Formental – Cóż pan myślisz o tej całej historyi?!

Ten, ku któremu zwrócił się, odparł:

– Powinnaby mnie zmieszać i przerazić... Tymczasem przeciwnie, harmonizuje ona w dziwny sposób z tem czemś tajemniczem, co jest teraz we mnie. Nie potrafię wyjaśnić tego dokładnie... Nie wiem, w jaki sposób i dlaczego, czuję jednak głęboko, że jakiś wypadek niezwykły przeciął jedność mojego istnienia... Jakaś cząstka mojej osobowości jest poza mną!

Tamten słuchał, w ten sposób, jak się słucha echa własnego głosu. I rzekł:

– Jakaś cząstka mojej istoty jest w tobie!

Doktór wyciągnął zegarek z kieszeni i stwierdził, że konfrontacya przeciągnęła się już i tak zbyt długo.

– Mam nadzieję, że nie zmęczyliście się zbytnio? – zapytał.

Ranni uśmiechnęli się obaj.

– Przeciwnie, wypoczęliśmy... Czujemy się daleko silniejsi i więcej rześwi.

– A jednak – odparł trwożnie dr. Formental – ta rozmowa wasza nie może ciągnąć się dłużej.

Opuścili głowy. Młodszy lekarz nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Natychmiast pojawiło się dwóch sanitaryuszów, którzy zabrali jednego z rannych.

Upłyneło pół minuty.

– Ach! – westchnął tamten pozostały.

I głosem przygasłym zaszeptał:

– Ach! to znużenie!.. Przedtem zniknęło zupełnie... A teraz spada znowu na mnie, jak głaz... Wszystko się oddala, przesłania mgłą... ginie w mroku...

Mogłoby się zdawać, że zmalał, zeszczuplał. Wzrok miał szklany; tragiczna bladość powlekła policzki.

Dodał jeszcze:

– On zabrał ze sobą moje siły... Doktorze! Nie pozostawiaj mnie bez tamtego! Teraz wiem już: bez niego życie moje jest jakimś ułamkiem.

– Byłam tego pewną! – zaszemrała Djana Montmaure.

Drzwi otwarły się. Młodszy lekarz, który towarzyszył rannemu, wszedł spiesznie.

– On się żali... Powiada, że bez tego... sobowtóra traci energię do życia i że. cierpi.

Dr. Formental przesłonił dłonią oczy. Wargi lekarza poruszały się, ale wydobywał się z nich tylko jakiś szept niezrozumiały. W końcu rzekł:

– Musimy zadość uczynić ich życzeniom. Oni lepiej wiedzą, czego im potrzeba.

Ludwika de Brehannes szepnęła:

– Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

ROZDZIAŁ V.

Augustyn de Rougeterre odpoczywał w swoim ogrodzie pod ulubionym dębem. Ten dąb pamiętał jeszcze czasy królów, przeżył pierwszą republikę i cesarstwo. Miał siedemset lat. Wydrążenia w jego pniu podobne były do jakichś czeluści, kora przypominała skórę starego nosorożca. Dwadziaście gałęzi, grubych niby pnie, dawało życie miryadom liści.

Hrabia Augustyn był niezmiernie przywiązany do tego drzewa.

W noce, rozszalałe burzą, zdawało mu się, że słyszy chrzęst zbroj rycerzy, zdążających z giermkami swymi do boju, albo granie starodawnych rogów.

Hrabia de Rougeterre był to człowiek żółciowy, małomówny i bardzo pobożny. Wojna nie była mu obcą. Walczył w lasach dziewiczych, na stepach Ameryki, wśród bagien i pośród skał.

W sierpniu, kiedy zamierzał znowu chwycić za oręż, wytrąciły mu go z ręki dolegliwości fizyczne.

Teraz o zmierzchu marzył. „Temps“ i „Les Debats“ leżały u stóp jego na ziemi.

Od dnia 20 sierpnia aż do bitwy nad Marną umierał prawie z nienawiści i wściekłego gniewu. Później zaczęły na promiennych skrzydłach legendy przybywać nowe wieści.

Tego wieczora hrabia Augustyn był melancholijnym i jednocześnie rozpłomienionym tak, jak te obłoki z ognia i dymu, które przesłaniały umierające słońce.

Nie rozumiał tej wojny. Okryta była dla niego jakąś szkaradną mgłą. Zapędzała bohaterów do jam podziemnych. Wyłaniała nieprzyjaciół bardziej zaciętych aniżeli murzyni Niam-Niam i Płaskie Głowy.

„Temps“ przynosił pomyślny komunikat. Augustyn de Rougeterre zrobił znak krzyża na czole i piersiach i jął szeptać cicho: „O Panie! okaż twój gniew... zwróć moc i potęgę Twoją przeciw nieprzyjaciołom naszym... Niechże to zło, które spełnili, zwróci się przeciw nim samym, niechże czyn niesprawiedliwy spadnie na ich głowy!...“

Złożył ręce pobożnie. Wspomnienia jego młodości łączyły się z słowami modlitwy w jedno.

Potem wyciągnął list jakiś z kieszeni i przeczytał go uważnie.

– Co to ma znaczyć? Czy Piotr zwaryował? Albo może pisał do mnie w malignie?

Usiadł na ławce z porfiru i zapadł znowu w zadumę. Cienie zmierzchu padały powoli wśród gałęzi dębu.

Ukazał się służący. Trzymał w ręku bilet wizytowy.

– Dobrze. Ide zaraz.

Hrabia Augustyn dźwignął się z ławki i podążył do pałacu.

Dwaj żołnierze czekali na niego w małym salonie.

Drgnął gwałtownie, poczem z oczyma utkwionemi w przybyłych stanął jak skamieniały. Obaj goście zdawali się być dokładnem odbiciem jednego człowieka, a tym człowiekiem był Piotr de Givreuse.

Ciałem starca wstrząsnął jakiś dreszcz przerażenia. Głuchym głosem zapytał:

– Któryż z was dwóch jest moim siostrzeńcem?

Młodzi żołnierze spojrzeli po sobie. Jeden z nich odrzekł:

– Obaj sądzimy, że jesteśmy Piotrem de Givreuse.

Hrabia aż podskoczył. Zdumiony był do osłupienia. ale zaczynał go także chwytać gniew.

– Czy to jest mistyfikacya?! krzyknął. – Złą zaiste wybraliście chwilę!

Niestety!.. To jest najgłębsza, najczystsza prawda – powiedział ten, który milczał dotychczas

Głosy ich miały jednakowe brzmienie, jak twarze jednakowe rysy.

Nagły lęk ogarnął hrabiego Rougeterre. Na skroniach wystąpiły mu krople potu.

Nie wiedział w tej chwili ani co myśleć, ani w co wierzyć.

– Zatem – rzekł – każdy z was wyobraża sobie, że jest Piotrem de Givreuse. Ale chyba, równie jak ja, nie wątpicie o tem, że jeden z was jest ofiarą jakiegoś niezwykłego, niezrozumiałego złudzenia.

Milczeli, opuściwszy głowy ku piersiom.

– To jest niemożliwe, abyście o tem wątpili! nastawał hrabia Augustyn, z trwogą i oburzeniem.

Ten, który zaczął mówić pierwszy, rzekł bardzo cicho:

– A jednak wątpimy!

Ta odpowiedź doprowadziła starca poprostu do rozpaczy.

– Wątpić można o wszystkiem. oprócz o Świętem Słowie Objawienia. Nie można wątpić o jedności jakiejś istoty!... Czy was jest dwóch?! Nie przeczycie chyba, że was jest dwóch!

Drżał cały ze wzruszenia, z zewnętrznego buntu i mistycznej trwogi.

– Zdaje się nam, że jest nas dwóch, ale nie jesteśmy tego pewni!

Rougeterre milczał długą chwilę, spoglądając dziko i błędnie. Wargi zbielały mu, policzki drgały nerwowo.

– Jeżeli to ma być próbą, to zlituj się o Boże nademną! Nie pozostawiaj mnie w sidłach tego, który nas kusi od czasu stworzenia pierwszej kobiety!

Przesunął ręką po twarzy. Odzyskawszy trochę zimnej krwi, rzekł:

– We wszystkiem, nawet w rzeczach nadprzyrodzonych jest logika. Jeżeli umysły wasze nie są zaćmione, to musicie zdawać sobie sprawę, że jesteście dwoma odrębnymi osobnikami.

– My to widzimy – odparł ten, który stał nieco dalej od hrabiego – że jest nas dwóch. Ale wiemy i to, że całe nasze ubiegłe życie jest nam wspólne. Rozmawialiśmy długo. Każde z naszych wspomnień zgadza się, każde bez wyjątku aż do chwili, kiedy obudziliśmy się z omdlenia w polowym szpitalu... Pytaj nas więc każdego z osobna o wspomnienia z lat dziecinnych i młodzieńczych. Przekonasz się, tak samo jak i my przekonaliśmy się, że nic z tego, co przeżył i zaznał jeden, nie jest obcem i nieznanem dla drugiego. Nic absolutnie! Rozdwojenie trwa dopiero od kilku tygodni. Oczywiście odnośnie do wszystkiego co się działo w Viornes i w Cavresi podczas naszej wspólnej podróży, to stanowimy dwie odrębne osoby, z pewnem jednakowoż zastrzeżeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rosya pod rządami bolszewików: Wymarsz zdemobilizowanych żołnierzy rosyjskich w głąb Rosyi. (Woj kwat pras)

Rosya pod rządami bolszewików.

Od czasu traktaku brzeskiego osłabło wszędzie zainteresowanie Rosyą i rozgrywającemi się tam wypadkami. Nad państwem bezsilnem na zewnątrz, a rozkładającem się wewnętrznie przeszedł świat do porządku dziennego. Obecnie dochodzą nas już tylko odległe echa rosyjskich walk domowych i prób organizacyjnych. Z wiadomości niepewnych i skąpo nadsyłanych niełatwo nawet odtworzyć współczesny obraz tamtejszych stosunków, i tylko opowiadania osób, przybywających z głębi Rosyi, rzucają światło na obecny stan rosyjskiego społeczeństwa. Z tych rozmaitych relacyi wynika, że przewrót bolszewicki coraz wyraźniej zaznacza się jako decydujący pogrom inteligencyi, czem był zresztą od początku. W Rosyi zapanowała dziś dyktatura ciemnoty, bo każdy inteligent jest dziś tam uważany za „burżuja" i „wroga ludu". Nie można też mówić o jakimkolwiek rządzie w Rosyi. Jest to anarchia, która nie da się z niczem porównać Dawne „samodzierżawje" cara rozszczepiło się na setki tysięcy „samodzierżców", nie odpowiedzialnych przed nikim, którzy sami wydają wyroki i rozstrzeliwują ludzi po miastach i wsiach. Bo Rosyą rządzi dziś właśnie nieograniczona niczem władza band bolszewickich. Tyranię cara — zastąpiła jeszcze krwawsza, jeszcze bardziej barbarzyńska tyrania bolszewików.

Teoretycznie ma w Rosyi rządzić „lud", a więc tak zwane „sowiety" (rady) przed nikim nieodpowiedzialne, utworzone samorzutnie za pomocą wyborów, dokonywanych z pominięciem wszelkich formalności, i przy użyciu terroru znacznie niebezpieczniejszego, niż była presya rządowa za dawnego systemu. Skład ich zupełnie jednostronny; przewodzi im garść zuchwałych agitatorów lub podstępnych spekulantów, którzy w ogólnej anarchii szukają zaspokojenia swoich łakomych apetytów. Władzę centralną reprezentuje Rada sowietów, przebywająca obecnie w Moskwie, której delegaci, tak zwani „komisarze rady", lub „komisarze ludu", stanowią obecnie rodzaj rosyjskiego rządu. Ale władza tej Centralnej Rady nie sięga zbyt daleko i nie przekracza właściwie rogatek stolicy; rozporządza tylko dawnym aparatem centralnych urządzeń i dlatego na zewnątrz może uchodzić za reprezentacyę całej Rosyi. Pozatem prowincyonalne sowiety zupełnie się o „rząd" nie troszczą, i niemal każdy z nich prowadzi politykę na własną rękę, stosownie do umysłowego poziomu i politycznych zapatrywań większości swoich członków. Wszędzie jednak przeważają analfabeci, będący najpodatniejszem narzędziem w rękach demagogów bolszewickich.

W ostatnich czasach rozwija się przeciwko sowietom ruch jeszcze od nich radykalniejszy, który już otwarcie wywiesza sztandar anarchii. Dla anarchistów Lenin i wszyscy jego pomocnicy są najzwyklejszymi „burżujami", z którymi tak samo trzeba walczyć, jak ze zwolennikami despotycznych rządów. Jest to zwykła ewolucya płytkiego radykalizmu, nieliczącego się z rzeczywistością, że co chwila znajdnje się przelicytowujący go współzawodnik.

Bolszewizm jednak nie tylko z tego powodu traci coraz bardziej grunt pod nogami. Nawet jego zwolennicy widzą ogromną przepaść pomiędzy doktrynerskimi obietnicami jego przywódców, a rzeczywistością. Antimilitarne hasła bolszewików przyniosły Rosyi zamiast upragnionego pokoju, najstraszniejszą wojnę domową i konieczność ulegania



Na włoskim froncie: Dawne pozycye włoskie z podziemnem schroniskiem na górze S. Michele. (Woj kwat. pras.)

obcemu militaryzmowi. Przedewszystkiem zaś reformatorskie eksperymenty bolszewickie, które miały uszczęśliwić lud, skutkiem powszechnej dezorganizacyi przyniosły mu jeszcze większą nędzę i głód niż za rządów carskich. Bolszewizm jednak, choć zdyskredytowany moralnie, trzyma się jednak u władzy — najdzikszym terorem. Hasła bolszewickie okazały się doskonałym płaszczykiem, pod którym stanęły z bronią u nogi najdziksze męty



Rosya pod rządami bolszewików: Przywódca bolszewickich wojsk w Chersoniu, marynarz Wasiliew (siedzi w środku) ze swym sztabem. (Fot Buta)

społeczne. Bandy zdemoralizowanych „sołdatów“ i najrozmaitsze „sotnie“ popierają z całym zapałem rząd, który daje im zupełną wolność... mordów i rabunków. Gdy ideowi szermierze utopii sobyalistycznych, dość tu wymienić Gorkiego, z całą gwałtownością występują przeciw bolszewickim rządom — w „bolszewików“ przedzierzgnął się ciemny motłoch rosyjski — ten sam, który dawniej na usługach caratu urządzał pogromy... „Bolszewizm“ rosyjski przestał już dawno wyrażać jakikolwiek kierunek socyalny. Odniósł on zwycięstwo nad Kiereńskim dlatego, że gdy ten starał się utrzymać w armii dyscyplinę i karał zbrodnie — bolszewicy proklamowali niczem nie krępowaną i przed nikim nic odpowiedzialną — tak jak dawniej despotyzm carski — dyktaturę zdziczałych sołdatów. Z tych szczątków armii rosyjskiej powstały też uzbrojone „bandy bolszewickie“, które faktycznie rządzą dziś w Rosyi i wobec których są bezsilni twórcy przewrotu bolszewickiego.

Do czego doprowadzą ostatecznie Rosyę rządy tej nowej tyranii, bo tyranii nie carskiej, lecz sołdatów — najbliższa przyszłość okaże.



Na włoskim froncie: Msza polowa. (Woj. kwat. pras.)

Z flandryjskiego piekła.

Druga faza ofenzywy niemieckiej na Zachodzie zwróciła się z całym impetem na front flandryjski, który znalazł się znowu w ogniu największej w dziejach bitwy. Atak niemiecki odniósł szereg sukcesów, które zagroziły poważnie klucz flandryjskiego frontu Ypern. Tu też skoncentrowały się wysiłki obu stron i tu niewątpliwie rozstrzygną się losy walki we Flandryi, która stała się istnem piekłem ognia i zniszczenia. Pod Ypern generał Foch pchnął też znaczną część swojej rezerwowej armii, którą miał kontrofenzywę rozpocząć i przez uderzenie dość silne w chwili wyczerpania się nieprzyjaciela atakiem sprowadzić rozstrzygnięcie. Oczywiście o tem kontruderzeniu nie ma mowy na razie. Za wszelką cenę bronić trzeba tego, co się da jeszcze ocalić. Anglicy odetchnęli z ulgą, gdy część zagrożonych pozycyi wzięli Francuzi do obrony. Obrona nie poszczęściła się wszakże. Góra Kemmel znajdująca się w ręku francuskiem, została przez Niemców zdobyta i utrzymano ją przeciw wszystkim kontratakom francuskim. W parze z tem rozpocząć musieli i Anglicy dalszy odwrót na wschód od Ypern, docierając z powrotem do swoich pozycyi z roku 1914, nad potokiem Steen, na jego brzegu zachodnim.





Na włoskim froncie: Betonowe pozycye włoskie pod Papariano. Dawne fortyfikacye włoskie pod Monfalcone (Woj. kwat. pras.)



Z flandryjskiego piekła: Cmentarz i ruiny kościoła w Langemarck. (Fot. Lip. b. pr.)

Zdobycie góry Kemmel, posunięcie się dalej ku zachodowi w łuku Ypern, oznacza zupełnie regularne zdobywanie twierdzy, fort za fortem, pozycya za pozycyą. Kemmel jest masywem górskim, broniącym dostępu do Ypern od południowego zachodu. Kto ma masyw ten w swojem posiadaniu, dla tego dzieło osaczenia twierdzy nie przedstawia już zbytnich trudności. Wdrapano się tu na krawędź, z której można otworzyć pochód dalszy z odpowiednim rozmachem. Lecz nietylko w północnowschodnim kierunku na Ypern otworem stoi droga. Posiadanie tego masywu górskiego umożliwia także pochód dalszy w północno zachodnim kierunku, zatem w głąb samej Flandryi, w kierunku morza.

Równe znaczenie, jak dla południowo zachodniego frontu Ypern góra Kemmel, ma dla południowowschodniego twierdzy frontu góra 60, którą Niemcom udało się również dostać w swoje ręce. Tym sposobem podsunięto się na odległość jakich siedmiu kilometrów od jądra twierdzy, samego miasta Ypern. Telegramy doniosły nawet, że Ypern znajduje się już pod ogniem ciężkich dział niemieckich. Ypern przeboleje to łatwo. Oddawna skutkiem nieustannych bojów, które się tu toczyły, z miasta pozostały już tylko gruzy.

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

25

Co zaś do barona de Compans, ten nie widząc Franka ani córki, sądził, że schronili się razem do jakiego przyległego gabinetu, żądni rozmowy bez świadków. Uśmiechał się nawet, czyniąc to przypuszczenie i myśląc, że opór Sylwii nie trwał zbyt długo, zwalczony jego wolą i przymiotami rzeczywistymi narzeczonego, którego jej wybrał.

Zabawa miała się przeciągnąć do samego rana i zdawało się, że ta noc przeciągała się rozmyślnie, tyle beztroski i upojenia malowało się na wszystkich twarzach.

Właśnie w tej chwili w głównym salonie pary stawały do nowego kadryla. W kadrylu tym miała tańczyć panna de Compans.

Wszyscy już zajęli swoje miejsca, czekano tylko na Sylwię i po raz pierwszy teraz dopiero zauważono ogólnie, że opuściła zabawę.

Ten fakt zresztą nie miał w sobie nic niepokojącego. Sądzono, że jakieś obowiązki domowe zmusiły córkę gospodarza do oddalenia się na krótko.

Wiadomość jednak o nieobecności Sylwii dziwne uczyniła wrażenie na panu de Compans. Nie zdając sobie jeszcze dlaczego, uczuł dziwny niepokój i ściśnięcie serca. Gdzież ona być mogła?

Co się jej przytrafić mogło? Dlaczego nie znajdowała się w salonie, kiedy wiedziała przecież, że na nią zebrani goście czekać będą?

Na widok Franka, wchodzącego do salonu, westchnienie ulgi wybiegło z piersi bankiera. On musiał wiedzieć, gdzie się znajduje jego narzeczona.

Bankier żywo podszedł do niego.

– Gdzie Sylwia? zapytał cichym głosem, aby nie być dosłyszanym przez osoby otaczające go.

– Nie widziałem już od chwili panny de Compans brzmiała spokojna odpowiedź Franka.

Lekka bladość pokryła twarz bankiera Zmieszanie jego spotęgowało się jeszcze, kiedy posłyszał szepty coraz głośniejsze, rozlegające się wokoło. Orkiestra na czyjś znak dany grać przestała. Wszyscy spoglądali na siebie z rosnącem zdziwieniem, nie wiedząc, jak sobie wytłumaczyć ten fakt niezwykły. Pan de Compans zrozumiał nagle, że należało przerwać to ciążące milczenie i nie dopuścić do jakichś uwag uszczypliwych i niechętnych. Podszedł więc do muzyki, która natychmiast zagrała pierwsze takty przerwanego kadryla i sam skierował się do drzwi

Ale zaledwie uszedł kila kroków, kiedy cofnął się blady, z okropnym okrzykiem przerażenia.

Na progu salonu stał Lopez, a za nim Paskal, z twarzą zmienioną, błędnem spojrzeniem. Duże krople potu błyszczały na jego czole.

Na krzyk pana de Compans i na widok przybyłych, ogólny ruch uczynił się na sali. Wszyscy ogarnięci ciekawością i zdumieniem cisnęli się do pana de Compans, zapominając zupełnie o zabawie i tańcach.

Bankier już dalej łudzić się nie mógł. Ohydna, straszna prawda występowała teraz przed nim, przejmując go zgrozą i śmiertelnym lękiem. On już rozumiał, czemu przypisać miał nagłe zjawienie się Lopeza w jego salonie. Lopez przychodził jako mściciel, wiedział o wszystkiem i chciał go nieodwołalnie zgubić.

W tej ostatecznej, strasznej chwili, nieszczęsny zbrodniarz nie pomyślał jednak o sobie, tylko o swojej córce, kochanej nad wszystko.

– Sylwia! Sylwia! – zawołał oszalały. – Coście z nią uczynili, odpowiedz pan! Gdzie ona jest?!

– Panna de Compans odjechała przed kwadransem z panem Oktawiuszem Gaudin – odparł Lopez, mierząc zimnem spojrzeniem bankiera.

– Ach! Kłamie pan! To niemożliwe!

– Może się pan o tem przekonać w każdej chwili. Nie mam potrzeby oszukiwać pana.

Pan de Compans oprzytomniał na chwilę zebrał trochę odwagi.

– A czegóż pan chce tutaj? – zapytał silnym głosem, chcąc onieśmielić nieprzyjaciela. – Jakiem prawem przychodzisz pan tutaj nieproszony i rzucasz zamieszanie pomiędzy moimi gośćmi!

Zaraz się pan o tem dowie – odparł Lopez i zwrócił się do Paskala, stojącego w milczeniu za nim.

– Paskalu! – wyrzekł donośnym, nakazującym głosem, dotykając ręką jego ramienia. – Oto pan de Compans, twój wspólnik.

Wspólnik! – próbował bronić się bankier, patrząc przerażonemi oczami na służącego.

Oto twój wspólnik! – powtórzył Lopez jeszcze donośniej. – Mów teraz opowiedz wszystkim tu zebranym o okropnej zbrodni, popełnionej tutaj, w tem miejscu, lat temu piętnaście, na osobie hrabiego de Rieux.

Zbrodnia?! – zawołali z oburzeniem wszyscy obecni.

– Tak zbrodnia! – poświadczył Lopez stanowczym głosem spoglądając spokojnym wzrokiem wokoło.

Pan de Compans bezsilny, ubezwładniony opadł ciężko na krzesło, kryjąc twarz w dłoniach. Czuł dobrze, że teraz próżną będzie jego obrona Nie starał się nawet zadać kłam słowom człowieka, który tu przybył z nieodwołalnym zamiarem zgubienia go na zawsze.

Pomiędzy zaproszonymi gośćmi znajdował się człowiek średniego wzrostu, o oczach inteligentnych i żywych, surowej, wygolonej twarzy, odbijającej się jasną plamą od czarnego ubrania.

Usłyszawszy słowo „zbrodnia", człowiek ten drgnął, podniósł głowę i wpatrzył się uważnie w Lopeza i Paskala, poczem wzrok jego błyszczący i badawczy spoczął uporczywie na panu de Compans.

Paskal tymczasem postąpił parę kroków automatycznym, sztywnym ruchem i patrząc przed siebie błędnie, oczekiwał na dalsze zapytania.

– Czy poznajesz ten salon? – zapytał Lopez.

– Tak – odpowiedział służący.

– Czy tu znajdował się zamordowany starzec? Przypomnij sobie dobrze.

– Nie, nie tam.

Ruchem ręki wskazywał niewielki salonik przyległy, do którego sam teraz przemocą pociągnął Lopeza.

– A więc w tym pokoju znajdował się starzec? – nalegał ten ostatni.

– Tak – odpowiedział z trudem Paskal przerażonym głosem.

– I ty byłeś przy nim?

– Tak.

– I podczas kiedy on dogorywał, przywołując nieobecnych swoich synów – ciągnął dalej stanowczo Lopez – siostrzeńcy jego oczekiwali niecierpliwie na jego śmierć, rozmawiając o majątku, jaki po nim mieli odziedziczyć.

Paskal uczynił giest potakujący.

– Ale co się stało potem? – W jaki sposób zamordowano syna, który podążył tutaj, aby odebrać błogosławieństwo umierającego ojca? Jak się to stało, że mordercy nie obudzili jego czujności i podejrzeń?

Paskal przesunął ręką po czole, na którem perliły się krople potu i głębokie westchnienie wybiegło z jego piersi.

– Och! – szepnął, drżąc całem ciałem – dzwonek... dzwonek...

– Zadzwoniono do bramy ogrodowej, czy tak? Zadzwoniono niespodziewanie?

– Tak.

– I siostrzeńcy hrabiego domyślili się powrotu syna?

– Tak.

– Postanowili zamordować syna, aby wejść w posiadanie sukcesyi? Jakiej użyli broni?

– Tam, w pokoju... wisiały sztylety...

– Uzbroili się w nie?

– I zaczaili za drzwiami – kończył Paskal – baczni na każdy szelest.

– A ty?

– Ja, na ich rozkaz, poszedłem otworzyć furtkę... Miałem wprowadzić go do mieszkania...

W salonie zaległo ciężkie milczenie. Wszyscy słuchali z natężoną uwagą zwierzeń służącego, wzruszeni, zdumieni, zapytując się w duchu, czy ta straszna opowieść mogła być prawdą.

Mężczyzna o bystrych, żywych oczach z szczególniejszem zainteresowaniem śledził całą tę scenę. Od czasu do czasu w spojrzeniu jego przebijał się błysk nagły, a usta drgały nerwowem zniecierpliwieniem.

Co zaś do pana de Compans, ten był zupełnie oszołomiony. Czuł zawrót głowy, myśląc o ostateczności, jaka go teraz czeka i przed którą nie widział już żadnej obrony. Przytem beznadziejna rozpacz go ogarnęła na wiadomość, że jedyna, ukochana jego córka opuściła go, gotując sobie przyszłość bez wyjścia. Bo czy Oktawiusz Gaudin dotrzyma swoich zobowiązań względem niej, kiedy się dowie, że jest córką mordercy i zrujnowanego człowieka?

Raz jeszcze, pomimo niemocy ogarniającej go coraz więcej, ostatnim wysiłkiem energii i odwagi rzucił na Lopeza błyszczące spojrzenie. Chciał coś mówić, oponować, może bronić się, ale słowa nie mogły wybiedz z zaciśniętego, wysuszonego gardła. Po dłuższej chwili dopiero wyszeptał z trudem:

– Ale któż pan jesteś? Któż pan jesteś właściwie? i patrzał przerażonym, obłąkanym prawie wzrokiem na przeciwnika.

Lopez nawet nie raczył zwrócić uwagi na te słowa. Przycisnął jeszcze ręką ramię służącego i wpatrzył się w niego surowem spojrzeniem.

– Paskalu! rzekł – mów dalej, słyszysz? Opowiedz nam, jak się to wszystko stało.

Konwulsyjny dreszcz wstrząsnął ciałem nędznika. Widać było z całej jego postawy, że stracił wszelką wolę i odporność chociaż instynktownie usiłował się bronić rozpaczliwie przed tą wolą tajemniczą, którą mu narzucono i której ulegał nieświadomie.

– Mów! — nalegał coraz natarczywiej Lopez. – Oni tu byli ukryci? Oczekiwali? Broń mieli przygotowaną i kiedy nieszczęśliwy syn zamordowanej ofiary ukazał się na progu, biegnąc do oczekującego w gorączce ojca, oni, ci nędznicy, ugodzili go skrycie i bez litości?

– Tak.. ugodzili go...

– Zbrodniarze!

Szmer zgrozy przeszedł po zebranych i wszystkie spojrzenia zwróciły się rozgorączkowane i śledzące ku grupie, którą tworzyli Frank, Fernanda, Paskal i Lopez.

– I ty byłeś przy tem? Byłeś świadkiem tego morderstwa? – zapytał ten ostatni.

– Towarzyszyłem synowi od chwili, kiedy wszedł do ogrodu willi.

– A poznałbyś mordercę, gdybyś go teraz ujrzał przed sobą?

Tak, poznałbym go.

– A więc patrz, jest tutaj!

Energicznym ruchem Lopez pochwycił ramię służącego i pociągnął go przemocą do miejsca, w którem znajdował się pan de Compans.

Bankier powstał i rozpaczliwym gestem ukrył twarz w rękach, ale Lopez brutalnie szarpnął go i ustawił naprzeciw Paskala.

Wstrętny uśmiech ukazał się na twarzy służącego, oczy jego zaświeciły żywym blaskiem.

– Czy poznajesz go? – zapytał Lopez.

– To on!

– Ja? zawołał pan de Compans, cofając się o parę kroków. – Ja?

Ale już mężczyzna o bystrych, żywych oczach stał przy nim, nakazując mu milczenie.

– Więc wszyscy opuszczają mnie i zdradzają! – zawołał bankier zrozpaczonym głosem. – Ach! To nikczemność! Ja nie pozwolę na takie traktowanie mnie! Czy nie znajduję się u siebie w własnem mieszkaniu! Chcę wiedzieć, jakiem prawem...

– Panie de Compans – przerwał nieznajomy głosem stanowczym i pewnym. – Słusznem jest, aby wszyscy, tu obecni, odkryli swoje nazwiska. Wypadek ten wydaje mi się zbyt ważnym, abyśmy go lekkomyślnie i pobieżnie traktować mogli. Musimy więc działać otwarcie i bezwzględnie. Jestem Cerevurt, prokurator sądu karnego. Czy to panu wystarcza?

Poczem zwracając się do Lopeza, dodał:

– A pan kto jesteś? Jak pan widzi, sytuacya jest tego rodzaju, że sprawiedliwość ma prawo żądać absolutnej prawdy. Z urzędu więc mojego proszę pana o wymienienie swojego nazwiska.

Lopez skłonił się głęboko.

– Jestem bratem zamordowanej ofiary, hrabiego de Rieux – wyrzekł, patrząc z stłumioną nienawiścią w stronę pana de Compans. – A doktor Frank jest jego synem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Srebrne gody ze sceną

W dniu 16. b. m. święci krakowski Teatr Ludowy rzadką, a zarazem pierwszą od czasu swej egzystencyi uroczystość — srebrne gody sceny z jednym z zasłużonych prawdziwie swych pracowników p. Ignacym Berskim.

Dyrekcya teatru w osobie znakomitego jej kierownika, dyr. Adama Grzymały Siedleckiego przeznaczyła w uznaniu zasług p. Berskiemu, honorowe przedstawienie jubileuszowe, na którem dany będzie „Chory z urojenia“ Moliera. W głównej roli Argana wystąpi jubilat.

P. Ignacy Berski wcześnie rozpoczął zawód artysty dramatycznego. Pierwsze kroki w swej karyerze stawiał w Stanisławowie, pod dyr. L. Kwiecińskiego, poczem przeniósł się do Poznania (dyr. Dobrowolski i Rygier), następnie do Królestwa Polskiego, gdzie występował w ogródkach. W niedługi czas wziął wziął udział w wielkim tournée artystycznem po Rosyi, pod dyrekcyą J. Popławskiego, wreszcie zaangażowany został, już jako wybitny artysta, w skład Ludowego teatru w Krakowie, zostającego podówczas pod znakomitem kierownictwem dyr. Knake Zawadzkiego.

P. Ignacy Berski pozostawał na wybitnem stanowisku przez szereg lat na lwowskiej scenie i tu zaskoczyła go w r. 1914 wojna i inwazya rosyjska. Wraz z gromadą rozbitków teatralnych chroni się wówczas Berski do Wiednia i występuje przez czas swej emigracyi w przygodnie przez Hellera zaimprowizowanym polskim teatrze w stolicy monarchii.

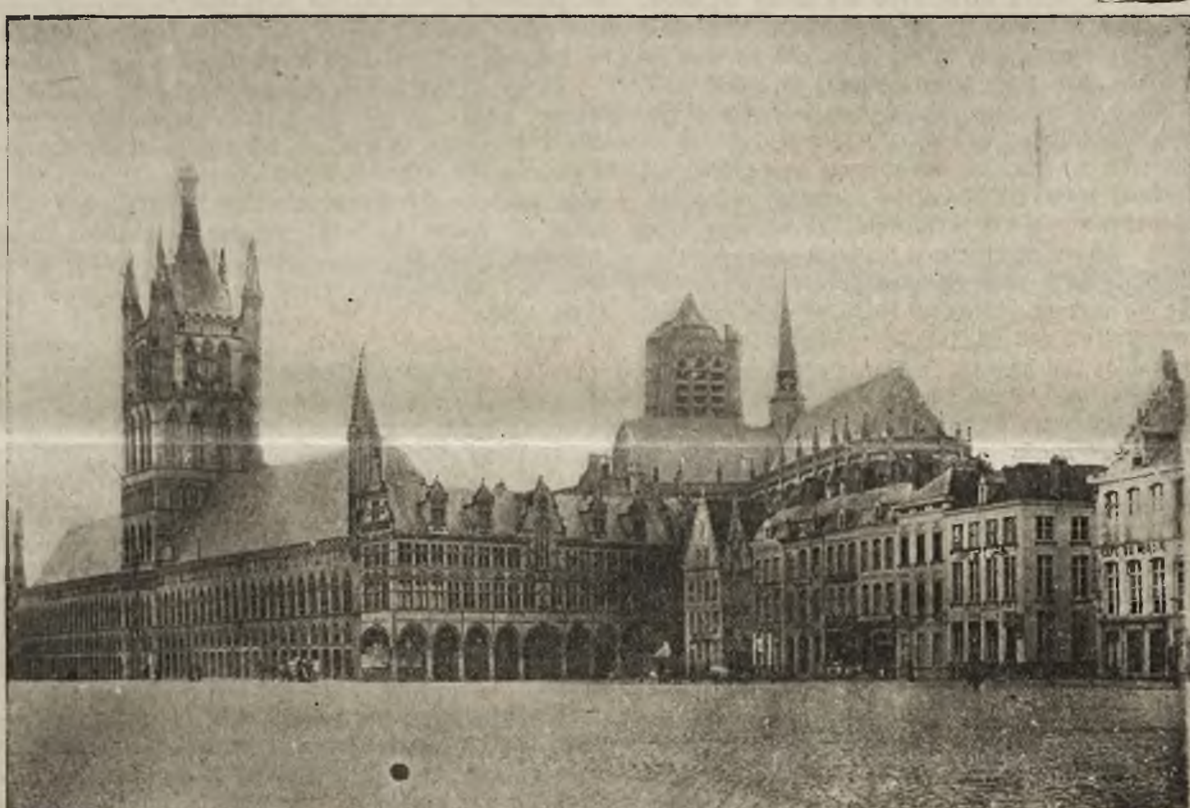
Ostatnio pozyskał p. Berskiego dla sceny ludowej w Krakowie dyr. Siedlecki i na tym nowym posterunku chlubnej pracy zdobył sobie artysta sympatye publiczności i uznanie krytyki.

P. Ignacy Berski jest zarówno czynnym w operetce jak w komedyi i dramacie, a wodewil ludowy ma w nim jedną z silnych podpór repertuaru.

W niniejszym numerze podajemy portret zasłużonego jubilata, oraz dwa zdjęcia w najlepszych rolach jego repertuaru ludowego: jako niezrównany „Majcherek“ w „Królowej przedmieścia“ K. Krumłowskiego i dziad odpustowy „Onufer“ w „Slubach dębnickich“ tegoż autora.



Srebrne gody ze sceną: Ignacy Berski artysta Teatru Ludowego.
W roli Majcherka w „Królowej Przedmieścia“ K. Krumłowskiego
W roli dziada Onufrego w „Slubach dębnickich“ K. Krumłowskiego.



Z flandryjskiego piekła: „Sukiennice“ w Ypern jeden z najpiękniejszych zabytków architektury flandryjskiej zniszczony dziś prawie zupełnie (Fot. Lip. B. pr.)



Szlakiem ofenzywy niemieckiej na Zachodzie: Stanowisko ciężkiego działa angielskiego przy ul. Lamartine w Armentieres (Fot. Bufa)

Na włoskim froncie.

O ile na północno-zachodni front, zwłaszcza zaś na odcinek flandryjski, zwrócone są oczy całego świata, gdyż toczą się tutaj mordercze bitwy, mogące doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia tych iście tytanicznych zapasów, jakie rozgrywają się od lat prawie czterech między koalicyą a mocarstwami centralnemi, o tyle południowo-zachodni teren walk, ziemia włoska, nie budzi obecnie szczególniejszego zaciekawienia. Panuje tu względny spokój, być może cisza przed burzą, słyszymy bowiem częste wzmianki o przygotowaniach do nowej ofenzywy na tym terenie. — Zwycięskie wojska austryacko-niemieckie posunęły się daleko w głąb ziemi włoskiej i usadowiły przeważnie w stanowiskach, jakie przygotowała dla siebie armia króla Wiktora Emanuela, zepchnięta przez zwycięzców prawie aż po linię Padu.



Na włoskim froncie: Wieża kościelna w Roncadale, zburzona przez Włochów.

Kronika tygodniowa.

Zabierając się do pisania niniejszej „majowej“ kroniki, znalazł się niżej nie podpisany w tem arcymiłem położeniu, co dajmy na to właściciel handlu oryginalnych win węgierskich, gdy go, podczas proszonego obiadu, posadzą pomiędzy zaprzysiężonym chemikiem i dyrektorem miejskiego wodociągu, a naprzeciw siebie widzi słodko uśmiechnięte oblicze pana prokuratora.

Bo i jakże tu pisać „majowo“, choćby nawet alizarynowym atramentem, gdy dusza kronikarza jest raczej marcowo nastrojona!... Proszę tego jednak źle nie zrozumieć! Nie mam bynajmniej na myśli kociego karnawału, który dawniej przypadał na marzec, a obecnie, gdy koty, po przeistoczeniu się w zające, poszły na zaspokojenie ludzkich apetytów, skreślony został zupełnie z kalendarza. Kronikarz jest zresztą za stary, by mu podobne głupstwa miały jeszcze chodzić po głowie, nie zgodziłaby się na to i pani Weronika.

Wyrażenia „marcowy nastrój“ używam zamiast określenia tego stanu umysłowej i duchowej depresyi, w jakiej się znajduje każdy z nas nie wiedzący, coby pożarł i gdzieby się mógł zagrzać.

Maj, ów piękny maj, o którym śpiewają poeci, śnią zakochani itd., dobiega już do połowy, a mąka z Ukrainy jak nie nadchodzi tak nie nadchodzi. Magistrat wydaje wprawdzie bardzo punktualnie karty chlebowe, ale niestety, nie otrzymuje się obecnie na nie świeczek, ani nawet zepsutej cebuli. Bez świeczek ostatecznie obejść się można, gdyż dzień coraz dłuższy, a i bez cebuli można być zbawionym. Trudniej przecież obejść się bez mąki i chleba, stanowiącego dziś dla wielu przysmak, trudny do zdobycia.

Nie trzeba bowiem myśleć, że mąki i chleba brak. Owszem i jednej i drugiego jest dość, może nawet więcej niż potrzeba, zwłaszcza, odkąd władze patrzą przez palce na tak zwany wolny handel tymi artykułami. Miało to wpłynąć na obniżenie cen, ale tak się nie stało. W pokątnym, ale dziś jawnie uprawianym handlu, mąka pszenna, tak zwana „nulka“, dochodzi do szesnastu koron za kilogram (tak mi przynajmniej mówiła Weronika, a ona nigdy nie kłamie!...), kromka chleba, ważąca dziesięć dekagramów, „z grzeczności“ kosztuje tylko... koronę, gdyż cena dwukilowego bochenka chleba waha się między osiemnastu a dwudziestu koronami.

I proszę mi powiedzieć, jak urzędnik, choćby nawet złotokołnierzowiec, ale mający do wyżywienia siebie, żonę (czasem nadto i teściowę!...), ośmioro dzieci i służącą, może sobie pozwolić na odpowiednie zaopatrznie swej rodziny w ten niezbędny artykuł. Kupi tyle chleba, aby go nie brakło nikomu z domowników, na co innego mu nie wystarczy, wiadomo zaś, że „nie samym chlebem żyje człowiek“.

Z Ukrainy nadchodzi podobno, gdyż tak opowiadają optymiści, groch i fasola, mające do odegrania podwójną rolę, bo w pierwszym rzędzie zaspokojenie apetytów różnych głodomorów, w drugim zaś przyczynienie się do fabrykacyi gazów trujących, znajdujących tak szerokie zastosowanie w obecnej technice wojennej.

Ale fasola i groch nie zastąpią nigdy chleba, na który ostrzą sobie obecnie zęby i ci którzy go dotąd traktowali, jak to mówią „per nogam“, a dziś obliznują się ze smakiem, jeśli im się uda zdobyć gdzieś bodaj kawałek zeschniętego.

W najromaitszych pamiętnikach z czasów wojny francusko pruskiej i oblężenia Paryża czytaliśmy o wygórowanych cenach różnych artykułów spożywczych i dziwiliśmy się, jak ówcześni ludziska mogli byli sobie dać radę, tymczasem widzimy, że my sami znajdujemy się dziś w daleko gorszem położeniu, choć jesteśmy zdala od właściwych teatrów wojny, a o oblężeniu Krakowa nikomu się nawet nie śni.

Dla przyszłego historyka, który zajmie się kiedyś tymi czasami, jakie nam przeżywać przychodzi, przytoczę kilka pozycyi, wyjętych częściowo z zapisków gospodarskich mej zacnej połowicy, nie wiedzącej w samej rzeczy jak związać koniec z końcem i mego własnego doświadczenia.

Więc: kilogram cukru (bez karty) dziewiętnaście koron, kilogram mięsa wołowego szesnaście, tyleż masła czterdzieści do pięćdziesięciu, chudy indyk sto, takaż kura pięćdziesiąt, para kurcząt wielkości wróbli dwadzieścia, litr mleka, odpowiednio ochrzczonego, trzy do czterech itd. Wogóle obecnie liczy się tylko na korony, halerze stały się zupełnie niepotrzebnymi i prawdopodobnie dlatego brak ich zupełny.

A dalej: jajko na twardo sześćdziesiąt halerzy do korony, kawałeczek zwykłego krowiego sera *(tormage de Krasnla)*, wagi około dziesięciu deka koron pięćdziesiąt, bułka, mniejsza od dawnej centówki, osiemdziesiąt halerzy do korony, dekagram zwykłej kiełbasy, nazwanej wiejską, czterdzieści halerzy, a nawet więcej, dekagram szynki gotowanej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu halerzy, szklanka „nie bardzo czystej“, tak zwanej herbaty z jednym kawałkiem sacharyny sześćdziesiąt halerzy, mały kieliszek wódki korona osiem dziesiąt i więcej, bomba piwa najpośledniejszego gatunku korona trzydzieści itd.

Z tego pobieżnego zestawienia cen artykułów, między którymi znajdują się wprawdzie takie bez których łatwo obejść się można, widzi jednak każdy, że w czasie oblężenia Paryża nie miano z pewnością tyle kłopotów z aprowizacyą, ile ich my dziś mamy, choć jeszcze, dzięki Bogu, nie pojawiły się na naszych jadłospisach oficyalnie takie specyały, jak naprzykład szczury.

Nikt przecież przewidzieć nie może, czy do tego nie dojdzie.

Informowałem się u jednego z krakowskich masarzy, dlaczego wieprzowina taka droga. Odpowiedział mi, że powodem tego jest okoliczność, iż sprzedający, o ile na targ dowiezie jaką sztukę, żąda za nią niebywałej ceny, tłomacząc się, iż wiózł poprzednio dwie sztuki, ale mu skonfiskowano, gdyż nie miał na to pozwolenia z Urzędu obrotu bydłem. Serce nie pozwala mu zostawić Krakowian bez wieprzowiny, próbuje więc szczęścia po raz trzeci, ale równocześnie powiada mu rozum, że jeśli się to dziś uda, należy odbić poprzednie straty.

— Ja zaś — kończył masarz — jestem wobec tego bezsilny!... Bez towaru zostać nie mogę, płacę więc tyle, ile żąda, a nikt chyba nie może wymagać odemnie, bym dokładał do tego interesu z własnej kieszeni. I ja muszę żyć, muszę więc coś na tem zarobić!... Kto chce jeść wieprzowinę i świńskie delikatesy, niech zatem płaci, kto nie ma na to pieniędzy, niech się smakiem obejdzie!...

Być może, że tak, jak mi sprawę przedstawiono, jest w samej rzeczy, kwestyę tę poruszam tylko dlatego, iż dziwnem mi się wydawało, że Galicya, kraj rolniczy i mający rozwiniętą hodowlę nierogacizny, cierpi właśnie na brak wieprzowiny.

Rękę do tego przykłada też i odpowiednia centrala, która wywozi od nas na Zachód bydło i nierogaciznę, jako rzekomo „pochodzącą z Ukrainy“, nam samym każąc czekać na dalsze transporty, które nadejdą prawdopodobnie wraz z mąką, o ile się naturalnie nie spóźnią lub nie zmylą sobie drogi.

Wobec tych i tym podobnych aprowizacyjnych mankamentów, trudno chyba wymagać, by przeciętny śmiertelnik, nie będący ani handlarzem wojennym, ani dostawcą, ani nawet pośrednikiem w kupnie i sprzedaży, miał być wesoło usposobiony, by go iście marcowa melancholia po łydkach nie kąsała!...

Zaznaczyłem na wstępie, iż nikt nie wie „co ma pożreć“ i nad tem może zbyt długo się zatrzymałem, nastąpić bowiem musi jeszcze i druga część, traktująca o tem, że nie wie też „gdzie i jak się ogrzać“.

Miesiąc maj miał być ciepły i mokry, aby żyto było „niby gaj“, tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, jak dotąd bowiem (piszę te słowa 12 maja) jest i suchy i dość zimny.

Co do wilgoci, to tej, mając podeszwy u bucików w dość opłakanym stanie, bynajmniej nie pragnę. — Jeśli agraryuszom potrzebny jest deszcz, niechaj sobie pada na wsi, omijając Kraków, choć i tu wzdycha doń Zakład czyszczenia miasta, by go wyręczył w polewaniu ulic. A niebiosa są na Kraków łaskawe, jak to widzimy choćby z tego, że teraz panują często wiatry, których przedtem nie bywało, a przynajmniej nie tak silne. Taki wiatr zmiecie śmieci z ulicy i placu na jedną kupę, przez co oszczędza roboty, potem zaś rozniecie ją na wszystkie strony i obejdzie się bez wywożenia.

Nie o tem jednak chciałem pisać. Chodziło mi głównie o zimno, dokuczające nam co roku na początku maja w okresie imienin świętych Pankracego, Serwacego i Bonifacego, nazwanych nawet popularnie, choć nie po polsku *Eismänner ami*. Czy w tym roku się pospieszyli, a każdy, wiadomo, żyje dziś nerwami, czy jest to zimno nadprogramowe, a właściwego w swoim czasie możemy się dopiero spodziewać, tego nie wiem, narzekam przecież na aurę złośliwą, dającą się we znaki zwłaszcza tym, którzy noszą już letnie kostyumy, więc z wentylacyą na łokciach, kolanach i t. d. Myślało się, że z chwilą zaprowadzenia letniego czasu nastaną i letnie ciepła, spotkał nas przecież pod tym względem zawód. Kto wie, czy nie jest to przygotowaniem do założenia nowej centrali, mającej się zająć równomiernym rozdziałem ciepła między wszystkie kraje monarchii z szczególniejszem naturalnie uwzględnieniem Wiednia i okolicy. Już i Wiedeńczycy narzekają wprawdzie na centrale i wykazują ich szkodliwość, ale one nic sobie z tego nie robią, mnożąc się, niczem grzyby po deszczu. Służenie im, jak również i pokrewnym im instytucyom, n. p. *Pecus*, *Geos* i t. d., musi jednak być bardzo popłatnem, wszyscy bowiem ich współpracownicy wyglądają tak okrągło i tak są zawsze uśmiechnięci, co jest znakiem wewnętrznego zadowolenia, iż budzi to aż zazdrość w zwykłym galicyjskim głodomorze. Kręci się ich zaś po galicyjskim *Bärenlandzie* całe mnóstwo, wietrząc, czy przypad kiem nie da się stąd jeszcze coś zabrać.

Ale to do tematu nie należy. Zacząłem o zimnie i o niem chcę dalej rzecz prowadzić. Mam pecha, niech tylko zacznę o czem pisać, dzieje się zaraz inaczej, być może, że stanie się tak i teraz i nim skończę kronikę, aura się ociepli.

Zastanawiałem się długo i szeroko nad tem, co może być powodem tego oziębienia, pytałem o to na wet i różnych fachowców.

Jeden wytłumaczył mi, że akurat teraz jest pora odrywania się lodów od biegunu północnego. Pędzone prądami morskimi dostają się one na Atlantyk, aż ku wybrzeżom Francyi. Ponieważ zaś w obecnej porze panują przeważnie wiatry zachodnie, zimny podmuch dochodzi i do nas. Jednem słowem, koalicya chce nas nie tylko wygłodzić, ale i wymrozić, pomocną rękę podają jej w tym wypadku Rosya i Ukraina, choć z nami sprzymierzone. Od czasu otwarcia granicy dają nam się odczuwać i wiatry wschodnie oraz północne, czego nie było dawniej, gdy rogatki graniczne były szczelnie zamknięte, a do przejazdu przez nie trzeba było legalnego paszportu, lub... łapówki. Zwłaszcza prądy ukraińskie nie wróżą dla nas nic dobrego...

To wytłomaczenie przypadło mi zupełnie do gustu i przemówiło do rozumu, choć Weronika twierdziła, że powodem obniżenia się temperatury może być bardzo łatwo masowe podawanie lodów i mrożonej kawy w naszych cukierniach i kawiarniach.

Ja tych specyałów jeszcze tego roku nie próbowałem, gdyż mnie na to nie stać, opowiadali mi przecież o tem inni. A tem się oni różnią odemnie, iż na wojnie zrobili dobre interesy i jeszcze ciągle je robią, więc końca wojny bynajmniej nie pragną, gdy natomiast ja, dzięki kochanej wojence, zeszedłem najzupełniej na psy, skoro nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek, jak szklanka kawy mrożonej, lub mała porcyjka lodów.

Może to jednak i lepiej!... Narzekam dziś na zimno, wówczas narzekałbym jeszcze głośniej. W taki sztuczny sposób można studzić nadmierne zapały, a ja w mym wieku, dzięki Bogu, nie potrzebuję tego, raczej zdałoby mi się więcej cieplika, na który go brak słychać ciągle narzekania.

Jak zaś nabyć go, a potem nie uronić zbyt pospiesznie, to właśnie problem bardzo trudny do rozwiązania, zwłaszcza w czasie, gdy niema co zjeść, niema czem popić, niema się w co ubrać. Stosunki z dnia na dzień stają się coraz przykrzejsze, ludzie coraz bardziej zdenerwowani i wyglądający tylko końca wojny.

Kiedy to może nastąpić?.. Na to, jak już w poprzednich kronikach nieraz zaznaczałem, nawet filozof odpowiedzieć nie jest w stanie, to bowiem, co nam, zwykłym śmiertelnikom, wydaje się być krokiem jednym więcej do jej zakończenia, przez wielkich polityków uważane jest, wprost przeciwnie, za jej przeciągnięcie. Jedni twierdzą, że musi się ona skończyć jeszcze w tym roku, inni są zdania, że może to nastąpić nie wcześniej, jak w roku 1920, a niema nikogo, ktoby przewidział, czy ci, czy owi mają racyę. Pani de Thèbes zmarła, babka ze Śląska milczy, nie odzywają się i inni wróżbici obojga płci, ale może to i lepiej, iż ludzi w błąd nie wprowadzają, skoro dotąd nie sprawdziła się żadna ich przepowiednia.

Gdyby mnie kto zapytał, jakie moje zdanie w tym kierunku, to jest, kiedy możemy się spodziewać końca wojny, odpowiedziałbym mu: „w maju“, mając na myśli naturalnie ów maj przysłowiowy.

I tak mi się przynajmniej zdaje, nie pomyliłbym się bardzo, straciłem bowiem wogóle nadzieję, czy kiedykolwiek uda mi się, a razem ze mną i P. T. Czytelnikom, doczekać tej radosnej chwili, gdy rozlegnie się na ziemi tak pożądany głos trąby archanielskiej:

— Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!...

Czy jednak archanioł zatrąbi i kiedy?... Na to znów trudna odpowiedź, jeśli się zważy, że trąby są przeważnie sporządzone z mosiądzu, a ten zarekwirowano na cele wojenne.

Kpiliśmy sobie, mówiąc i pisząc, że obecna wojna potrwa lat trzydzieści, tymczasem dziś widzimy, że ten, kto to wymyślił, to nie był bynajmniej głupi człowiek. Cóż to jest zresztą lat trzydzieści w porównaniu z całą wiecznością? Drobnostka, która nawet nie może w grę wchodzić. Skoro zaś udało nam się przetrzymać jako tako, choć z biedą, lat cztery, damy sobie radę i z pozostałymi dwudziestu sześcioma. Lata wojny liczą się, jak wiadomo, podwójnie, kto więc doczeka końca wojny, będzie sobie mógł policzyć sześć dziesiąt lat do emerytury!

Z tygodnia.

Watykan a sprawa polska.

„Temps“ z 26 kwietnia donosi z Rzymu, że wiadomości, ogłoszone w pismach w sprawie nominacyi Mgr. Ratti, jako posła Watykanu do Polski, są niedokładne. W sferach kościelnych zaznaczają, że nominacya ta bynajmniej nie pociąga za sobą, przynajmniej obecnie, uznania ze strony Stolicy Apostolskiej „małych państw“, które uformowały się wskutek rozpadnięcia się cesarstwa rosyjskiego. Według informacyi półoficyalnych, papiez Benedykt XV nie uzna żadnego nowego państwa przed końcem wojny. Specyalnie co się tyczy Polski, to uznanie Królestwa Polskiego w chwili obecnej, byłoby usankcyonowaniem stanu rzeczy, wytworzonego w tym kraju przez traktat brzeski, coby stanowiło nader niebezpieczny precedens.

Nowa zmiana w sytuacyi wojsk polskich na Ukrainie.

Po krwawych przejściach w Niemirowie i Gniewaniu na wojska polskie na Ukrainie spadła nowa, przykra niespodzianka. Ukraińskie (przed przewrotem) ministerstwo wojny, gdy wojska polskie wobec napadających je uzbrojonych mas chłopskich zajęły podstawę samoobrony, zwróciło się „o pomoc“ przeciwko niemu do sztabu niemieckiego. Ten sztab, jak donosi „Kuryer Lwowski“ w korespondencyi z Kijowa, wyraził z tego powodu niemałe zdziwienie, że Ukraińcy przeciw garstce polskich żołnierzy apelują do niemieckiego oręża. Ukraińskie ministerstwo wojny wystąpiło wobec niemieckiego sztabu z fałszywymi insynuacyami, że wojska polskie dążą na Kijów, palą domy, niszczą dobytek ludności ukraińskiej, prowadzą walkę klasową z ludnością ukraińskiej republiki i występują pod hasłem imperalizmu polskiego. W okolicy Kaniowa otoczyli tedy Niemcy wojska polskie drugiego korpusu. Osiński podjął rokowania ze sztabem niemieckim, na podstawie których pomiędzy obu woiskami ustanowiony został czterowiorstowy pas neutralny, przyczem oba wojska okopały się.

Osiński w towarzystwie kilku oficerów udał się do Kijowa, aby w tej sprawie porozumieć się z partyami politycznemi. W ich imieniu Waligórski, Brzozowski i Horwath zwrócili się do sztabu niemieckiego, aby pozwolił w tej sprawie porozumieć się z Radą Regencyjną i zapytać o wskazówki z Warsznwy, co dalej czynić należy. Niemcy odmówili, przyczem zażądali dostarczenia sobie tekstu, zaznaczając, że na drugi dzień dadzą odpowiedź, jakie w tej mierze zajmą stanowisko. Wskazali ponadto delegacyi polskiej Polaka, pułk. pruskiego Jarosza, który miał w dalszym ciągu z delegacyą porozumieć się. Jarosz wobec delegacyi zaznaczył, że w sprawie wojsk polskich przybył do Kijowa wysłany przez gen. gub. Beselera delegat wojskowy, celem opracowania ostatecznych warunków, któ re wojskom polskim drugiego korpusu mają być postawione przez sztab niemiecki. Ten wypowiedział zdanie, że wojska tego korpusu przedstawiają żywioł rozpolitykowany i nie tworzą w ten sposób typu żołnierza, że Rada Regencyjna wojsk takich nie pragnie, wobec czego wystąpił z propozycyą przeprowadzenia demobilizacyi drugiego korpusu w przeciągu 5–6 miesięcy, wyjazdu do Królestwa i złożenia tamże posiadanej broni. Cała sprawa znajduje się w stadyum wstępnych rokowań. Odpowiedź Rady Regencyjnej do 6 maja nie nadeszła z Warszawy.

Misya polska w Ameryce.

Chicagowski *Dziennik Związkowy* donosi, iż Misya Polska z Francyi przybyła do Waszyngtonu, gdzie została przyjęta przez rząd Stanów Zjednoczonych. Jest to misya armii polskiej, utworzonej we Francyi, a w skład jej wchodzą: szef misyi, major Józef Kozłowski kapitan Henryk Wagner, porucznik książę Stanisław Poniatowski i podporucznik Mieczysław Orłowski. Członkowie misyi przybyli na zjazd komitetów obywatelskich i oficerów rekrutacyjnych, oraz na olbrzymi wiec patryotyczny do Cleveland.

Uznanie niezawisłości Litwy.

Prezydyum krajowej Rady Litewskiej otrzymało dnia 4 maja dokument, podpisany przez cesarza Wilhelma, w którym Niemcy uznają niezawisłość państwa litewskiego. Wręczenia dokonał w sposób oficyalny szef administracyi wojskowej na Litwie.

Wydawnictwo i wydawcy: Spółdzielczy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego